

Hongkong – geopolityczna beczka prochu

24 października 2019

Zaczęli od wezwania do wycofania ustawy o ekstradycji; teraz żądają przeprowadzenia wyborów w powszechnych wyborach. Setki tysięcy mieszkańców Hongkongu wyszły na ulice i nie przestają protestować, pomimo represji wobec lokalnej władzy i gróźb ze strony chińskich przywódców. Konflikt ten wybuchł w złym momencie dla Pekinu – w czasie, gdy Waszyngton próbuje powstrzymać wzrost potęgi Chin.

Jakże wspaniałe są demonstracje, które odbywają się w dalekich stronach. Manifestanci niosący tablice z hasłami, zwłaszcza chińscy czy rosyjscy, są wówczas walczącymi o demokrację, odpowiedzialnymi, pacyfistycznymi obywatelami. Tak odległymi od hord „żółtych kamizelek”, agresywnych, ograniczonych, czy wręcz faszystowskich.

I tak szturm 1 lipca 2019 r. na Radę Legislacyjną (Legco), parlament Hongkongu – wysadzone drzwi, biura zniszczone przez kilkuset manifestantów – staje się „najodważniejszą akcją”, (Le Point, 3 lipca 2019), podczas gdy hasła wypisane farbami na paryskim łuku Triumfalnym i powybijane szyby w podziemiach 1 grudnia 2018 r. świadczyły o niszczycielskim amoku. Napad na chińskiego dziennikarza „Global Times”, jednej z oficjalnych trybun Pekinu, zatrzymanego, związanego i obwiezionego na wózku po halach lotniska w Hongkongu, był jedynie „incydentem” („Le Monde”, 14 sierpnia 2019). Nie miał nic wspólnego z dziennikarzami zaczepianymi słownie przez „żółte kamizelki”, dopuszczające się w ten sposób „linczu”.

Korzenie ruchu

Podobnie jak wszystkie masowe ruchy na świecie, ten z Hongkongu, gromadzący setki tysięcy protestujących, jest

napędzany przez różne nurty, niekiedy pokojowe, niekiedy gwałtowne, a jego żądania nie dadzą się zmieścić w jednym haśle. Wszystko zaczęło się w kwietniu ub. roku, gdy szefowa administracji Hongkongu Carrie Lam przedstawiła projekt ustawy o ekstradycji. Miało to pozwolić na przekazanie tajwańskiemu wymiarowi sprawiedliwości studenta, który zamordował swoją partnerkę w Tajpej i którego nie można było osądzić na wyspie. Wzmianka o tym niezwykle poruszyła Hongkończyków. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę, że projekt ustawy może dotyczyć każdego oskarżonego o przestępstwo... przez Pekin.

Wprawdzie władze chińskie nie przejmowały się prawem, gdy w 2015 r. zarządziły uprowadzenie 5 księgarzy i wydawców z Hongkongu podejrzanych o chęć opublikowania obrazoburczych dzieł na temat prezydenta Xi Jinpinga czy też w 2017 r. – porwanie bogatego biznesmena Xiao Jianhua,. Wszyscy uprowadzeni pojawili się ponownie, kilka miesięcy później, nauczeni, że lepiej siedzieć jak mysz pod miotłą. Jednak prawnicy i obrońcy praw człowieka odebrali ten projekt jako kolejną próbę zakwestionowania niezależności sądownictwa w Hongkongu. To właśnie oni w kwietniu i maju zaczęli manifestować jako pierwsi, pod przychylnym okiem potentatów rynku nieruchomości i finansów nawykłych do robienia użytku z mniej lub bardziej legalnego kapitału płynącego z kontynentu i obawiających się, że Pekin zechce wtykać swój wielki nos w ich sprawy.

Studenci, których „Ruch Parasolowy” przed 5 laty zakończył się szeregiem aresztowań, szybko przejęli pałeczkę. W ślad za nimi poszły setki tysięcy Hongkończyków, w oczach których projekt stanowił zamach prawny Chin kontynentalnych, usiłujących ograniczyć ich autonomię. Wielu ekspertów, zarówno z Hongkongu, jak i Pekinu, uważa, że chiński prezydent, zmagając się już z wojną handlową ze Stanami Zjednoczonymi, nie miał z tym nic wspólnego. W żaden sposób nie zmieniło to jednak przekonania większości mieszkańców Hongkongu. W niedzielę 9 czerwca na ulicę wyszło około miliona osób. Tydzień później

demonstrantów było już 2 mln (z 7,2 mln mieszkańców). Carrie Lam ucichła i wysłała do akcji policję. Dopiero 15 czerwca ogłosiła skromne „zawieszenie” swojego projektu. Było to zbyt mało i za późno.

Część protestujących opowiedziała się za akcjami opartymi na przemocy, jak rozgromienie Rady Legislacyjnej, niszczenie komisariatów, blokada lotniska. Szefowa administracji wybrała odpowiedź siłową i nakazała tłumienie protestów przy użyciu gazu łzawiącego, amatek wodnych i gumowych kul (choć w odróżnieniu od tego, co się dzieje we Francji, nikt tam dotychczas nie stracił oka).

Najgłupszy rząd na świecie?

Lam zarządziła całą falę aresztowań (zatrzymano ponad 600 osób) i podjęła kilka kroków, które kosztowały łącznie 19,1 mld dolarów hongkońskich (2,1 mld euro): obniżenie podatków od wynagrodzeń, dotacje na elektryczność dla najbiedniejszych, pomoc dla gorzej sytuowanych studentów. „Byłoby naiwnością ze strony Lam i Chana [Paul Chan, sekretarz finansów] próbować przywrócić spokój, wydając więcej pieniędzy. Kryzys polityczny można rozwiązać jedynie za pomocą środków politycznych”, grzmiał artykuł na pierwszej stronie hongkońskiego dziennika „South China Morning Post”.

W 1984 r., gdy chiński przywódca Deng Xiaoping i brytyjska premier Margaret Thatcher rozpoczęli rozmowy na temat zwrotu Hongkongu, imperium środka odkryło arkana gospodarki rynkowej, podczas gdy kolonia brytyjska, gdzie panował nieograniczony kapitalizm, cieszyła się pewnymi swobodami, lecz nie miała prawa głosu ani możliwości decydowania o własnym losie. Londyn i Pekin ustalali go między sobą. Po długich rozmowach przyjęli zasadę „jeden kraj, dwa systemy”.

Taka formuła uspokoiła hongkońskie elity, które po powrocie wyspy do Chin w 1997 r. miały zachować swoją wysoko rozwiniętą gospodarkę, niezależność sądownictwa, swobodę przemieszczania

się i opinii. Hongkong jest zamieszkiwany przez Chińczyków, którzy uciekli z kontynentu po zwycięstwie Mao Zedonga w 1949 r., w czasie rewolucji kulturalnej w 1966 r. albo po wydarzeniach na placu Tiananmen w 1989 r.; są oni bardzo wrażliwi na te kwestie. Władze chińskie ze swej strony uznały, że są zabezpieczone przed wszelkimi pokusami niepodległościowymi („jeden kraj”) oraz przed wirusem demokracji („dwa systemy”).

Wszystko popsuło się w 2014 r., gdy władze chińskie odmówiły zgody a wybór szefa administracji w wyborach powszechnych – choć przewidziane jest to w jego własnych dokumentach. Pekin byłby skłonny zaakceptować głosowanie, o ile sam wyznaczy kandydatów, którzy będą startować w wyborach... Mimo ogromnej mobilizacji postawił na swoim. Wybrana została Carrie Lam, a opozycja – zmarginalizowana lub wykluczona. Było to pyrrusowe zwycięstwo: „dobry towarzysz” niekoniecznie musi być dobrym przywódcą... „W Hongkongu mamy najgłupszy rząd na świecie”, przyznaje członek partii z kontynentu. To prawda, jednak nie jest to tylko kwestia ludzi. Pekin przededefiniował swoją wizję „jednego kraju, dwóch systemów”: „Wysoki stopień autonomii” – czytamy w Białej księdze przyjętej przez rząd w czerwcu 2014 r. – „nie oznacza autonomii całkowitej ani decentralizacji władzy. To możliwość kierowania sprawami lokalnymi tak, jak na to pozwala kierownictwo centralne”.

Chińskie władze obawiają się nie tyle rozprzestrzenieniem demokratycznych aspiracji w całym kraju, ile odrzucenia kontynentalnych Chin przez Hongkończyków, którzy zażądają niepodległości. Mieszkańcy wyspy ze swej strony obawiają się, że zaginie ich tożsamość i odrębność. Obawy te się nasilają i mogą doprowadzić do najgorszego: że Pekin wybierze rozwiązanie siłowe albo że Hongkończycy odetną się od kontynentu. Już teraz nie brak incydentów motywowanych otwartym albo zakamuflowanym rasizmem.

Jednakże dążenia niepodległościowe pozostają marginalne. „Przywiązanie do wartości obywatelskich [wolności, prawa do

głosowania...], jak zauważają Chan Chi Kit i Antony Fung Ying Go w analizie hongkońskiej tożsamości, nie oznacza automatycznie oporu wobec chińskiego nacjonalizmu” w etnicznym znaczeniu tego terminu. Według badań przeprowadzonych przez Uniwersytet Hongkoński, nieco ponad 1/3 mieszkańców nadal definiuje własną tożsamość jako mieszaną (chińską i hongkońską), nawet jeśli większość uznaje się obecnie za Hongkończyków. Jeszcze pod koniec ub. roku połowa mieszkańców potwierdzała swoją wiarę w zasadę „Jeden kraj, dwa systemy”, obecnie deklarują tak tylko 4 osoby na 10.

Region coraz mniej specjalny

Na ten kryzys tożsamości nakłada się kryzys społeczny. O ile Hongkong figuruje na liście najbogatszych miast świata, mając rekordową liczbę miliarderów (67, jak podaje amerykański magazyn Forbes), o tyle nierówności są tu ogromne, a 20% populacji żyje poniżej progu ubóstwa.

Prasa regularnie pisze o mieszkaniach-klatkach, mających mniej niż 5 m², gdzie mieszkają ludzie starsi bez emerytury albo osoby bez stałego zatrudnienia. Obecnie problem dotyka również młodych z warstw średnich. Nawet jeśli kryzys mieszkaniowy nie pojawił się po powrocie Hongkongu do Chin, to Hongkończycy są przekonani, że pogłębił go znacznie napływ bogatych Chińczyków, którzy piorą brudne pieniądze na tutejszym rynku nieruchomości i powodują gwałtowny wzrost cen.

Uważają także, że młode kadry z kontynentu, z dyplomami wielkich amerykańskich czy brytyjskich uniwersytetów, mówiące doskonale po angielsku, zabierają im najciekawsze i najlepiej płatne posady, podczas gdy ich perspektywy pracy na terytorium Chin odbiegają bardzo od tego, na co liczyli ich rodzice przed 20 laty. Na te frustracje nakłada się niepokój o to, co przyniesie przyszłość. Hongkong będący jeszcze niedawno wysuniętym przyczółkiem gospodarki rynkowej, jest dziś wyprzedzany przez swojego kontynentalnego sąsiada, Szenzen,

zarówno pod względem produkowanych dóbr, jak i przez dynamizm technologiczny przedsiębiorstw, które się tam ulokowały (Huawei, Tencent Holdings itd.). Specjalny region jest coraz mniej specjalny.

To właśnie obawa przed zdeklasowaniem oraz problemy dnia codziennego wyjaśniają masową mobilizację, wykraczającą daleko poza obóz określany jako prodemokratyczny. Zdaje sobie z tego sprawę część chińskich elit. Świadczyć może o tym choćby ten zaskakujący artykuł opublikowany jednocześnie przez oficjalną „China Daily” (po angielsku) oraz „China Military” (dziennik wojskowy): „Wielu młodych jest niezadowolonych z tego, co postrzegają jako niewłaściwą koalicję pieniądza i władzy i (...) uznają Carrie Lam za symbol establishmentu”. Czyżby szefowa administracji miała zostać porzucona przez Pekin?

USA – podżegają czy ignorują?

Na razie jednak władza i wierni jej komentatorzy uderzają w Stany Zjednoczone, oskarżane o podżeganie do buntu. „Istnieją dobrze udokumentowane dowody na to, że protestujące grupy zabiegają o wsparcie Stanów Zjednoczonych i że je otrzymują”, zauważa politolog Jonathan Manthorpe. „Civil Human Rights Front, który organizował masowe, pokojowe marsze, dostaje fundusze z National Endowment for Democracy”, co potwierdza oficjalna strona internetowa tej organizacji powiązanej z Centralną Agencją Wywiadowczą (CIA), jednak to nie on wymyślił niezadowolenie. Z kolei emerytowany profesor z Hongkongu oskarża „kościół protestancki prowadzące wiele prywatnych szkół”. Ten, który na własnej skórze doświadczył kolonizacji, nie mógł znieść brytyjskiej flagi, która powiewała przez kilka chwil przed Legco. Dodaje, nieco ironicznie: „Nie zauważyliśmy, by którykolwiek z tych zwolenników demokracji popierał strajk filipińskich niań, które gromadziły się w każdą niedzielę, żeby dochodzić swoich praw, ani dokerów, którzy strajkowali przez 40 dni we wrześniu 2014 r.”

O ile nie ma najmniejszych wątpliwości co do wsparcia ze strony zwykłych amerykańskich instytucji, o tyle Waszyngton jest bardzo podzielony odnośnie rodzajów wsparcia hongkońskiego ruchu. Donald Trump, troszczący się bardziej o umowy handlowe niż prawa człowieka, pozostał na uboczu, wyjaśniając, że ma „zero wątpliwości” odnośnie „zdolności prezydenta Xi do rozwiązywania kryzysu w ludzki sposób” (tweet z 15 sierpnia 2019 r.). Został nawet za to zganiony. Przez republikańskich zwolenników ostrego starcia, którzy chcą zerwania z Chinami, by wyhamować w ten sposób ich ambicje, oraz przez demokratów, którzy podzielają ten cel i dodatkowo widzą w tej sytuacji doskonałą okazję, by wytknąć palcem prezydenta Trumpa.

Czy jest możliwe – jak zapowiadają lub mają nadzieję niektórzy – że sytuacja przerodzi się w nowy Tiananmen? Dzisiejsze Chiny w niczym nie przypominają tych z 1989 r.: reżim nie czuje się zagrożony zamieszczeniem w Hongkongu, natomiast ludność kontynentalna – niedoinformowana – woli raczej widzieć w inicjatorach buntu rozpieszczone dzieci i bronić się, niczym przed dżumą, przed jakąkolwiek formą chaosu. Ponadto, jak wyjaśnia analityk Wu Qiang, były profesor Uniwersytetu Tsinghua w Pekinie, „represje z 1989 r. wiele nauczyły chińskie władze, które prowadzą wymianę z Zachodem odnośnie sposobów reagowania w sytuacji zamieszek politycznych czy pokojowych demonstracji”. Państwo Środka uległo swego rodzaju okcydentalizacji.

Co robi Pekin?

Oczywiście nie można wykluczyć, że sytuacja wymknie się spod kontroli. Jednak Pekin nie zakłada najgorszego. Z ekonomicznego punktu widzenia Hongkong wydaje się mniej istotny niż niegdyś: nawet jeśli przepływa przez niego 2/3 zagranicznych inwestycji, to zmniejszył się jego udział w chińskiej gospodarce spadając z 27% chińskiego PKB w 1997 r. do 3% obecnie. Szanghaj dotrzymuje mu kroku w dziedzinie

finansów, natomiast Szeszeń – w dziedzinie innowacji.

Jednakże pod względem politycznym miasto nadal ma strategiczne znaczenie. Autorytarna i oparta na sile wojskowej reakcja byłaby wodą na młyn zwolenników niepodległości Tajwanu na kilka miesięcy przed przewidzianymi na styczeń przyszłego roku wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi i legitymizowałoby dokonujące się zbliżenie Donalda Trumpa i prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen. A przecież tak w oczach armii, jak i zwykłych Chińczyków, Tajpej jest znacznie ważniejsze niż była kolonia brytyjska. Zresztą rozlew krwi w Hongkongu zniszczyłby wysiłki Xi Jinpinga na rzecz otwarcia dyplomatycznego, w tym także inicjatywę nowego „jedwabnego szlaku” (Belt and Road Initiative, BRI), w sytuacji, gdy obecność na Morzu Chińskim już teraz niepokoi jego sąsiadów. Nawet jeśli niektórzy w Waszyngtonie wyobrażają sobie, że ewentualne sankcje międzynarodowe byłyby skuteczną bronią w wojnie gospodarczej, to zapominają, że chińska i amerykańska gospodarka są obecnie współzależne. W sytuacji, gdy rynki są rozchwiane, nie jestem pewne, czy Donald Trump zechce podjąć takie ryzyko przed zbliżającą się rozgrywką o kolejny mandat.

Po stronie chińskiej panuje ta sama obawa. I tak „Global Times”, który nie traci nigdy okazji, by atakować manifestantów, których uznaje za marionetki w rękach Waszyngtonu, ostrzegał przed interwencją zbrojną. „Jaki byłby ciąg dalszy?”, pyta redaktor naczelny Hu Xinjin. „Hongkong nie ma ani sił, ani mechanizmów [by pozwolić sobie na konfrontację]. Oznaczałoby to ogromne koszty polityczne (...). Opinia publiczna w Hongkongu nie zaakceptowałaby tego”. Lecz – jak wiemy z doświadczenia – w polityce nie zawsze wygrywa racjonalne rozumowanie.

Autorstwo: Martine Bulard

Tłumaczenie: Ewa Cyłwik

Źródło: Monde-Diplomatique.pl